ROZMAITOŚCI.

Dnia 1. Sierpnia. № 31. Roku 1855.

SPUŚCIZNA.

Z powieści genewskich R. Toepffera.

(Z francuskiego.)

(Dokończenie. Ob. N. 23. 24. 25. 26. 27. 28. 29. 30. Rozmaitości.)

VI.

Wróciłem do siebie niezmiernie uszczęśliwiony i wcale inny niż przedtém. Zdawało mi się, żem zaczął żyć od tego dnia dopiéro, i dziś jeszcze jestem tego zdania, że tak było w istocie; bo chociaż w późniejszém życiu dotknęło mię jakie nieszczęście, niewróciłem już nigdy do tego stanu odrętwienia, jakie wiodą za sobą zapewniony byt i naprzód obliczona przyszłość, gdzie w sercu zupełna próżnia, gdzie wszelkie siły drzémią, a duch skrępowany zniża się do drobiazgowych zabiegów salonu, do marnych błyskotek próżności. Należę do klasy społeczeństwa, w któréj stan taki, osobliwie w naszych czasach, jest prawie powszechny; i gdy się zastanawiam nad losem tych, co w nim pozostają, czuję że gdybym jeszcze miał obiérać sobie kierunek życia w braku tego, w którém znalazłem szczęście, przeniósłbym niezawodnie pracowity niedostatek, wymagający trudów i natężenia, nad owe rozkoszne próżniactwo, w którém zmarnowałem połowę najpiękniejszych lat mego życia.

I znowu jak poprzedniego wieczora pogrążyłem się w myślach pod wpływem silnego wzruszenia, jak to zwykle się dzieje w owych uroczystych chwilach życia, kiedy człowiek żegnając swą przeszłość oddaje się zupełnie nowemu przeznaczeniu. Wnet téż usiadłem przy kominie i utkwiwszy wzrok w płomieniach, dodawałem otuchy mym nadziejom, przypominając sobie to wszystko, cokolwiek pochlebnego znalazłem w wyrazach i postępowaniu téj młodéj dziewicy; największą zaś wagę pokładałem na wstawieniu się mego przyjaciela u tych dam, a nawet pozwalałem już sobie uważać nadzieje te za spełnione, tak dalece, żem powstał z uniesieniem radości, przechadzał się szybkim krokiem po pokoju, i przeskakując w marzeniach dnie, tygodnie i lata, snułem sobie złotą nić szczęścia, do któréj przywiązywałem tysiące najmilszych projektów. Pośród tych marzeń padł mój wzrok niespodzianie na

bilet adresowany do mnie, którego w roztargnieniu mém niespostrzegłem dotąd, jakkolwiek leżał mi na oczach na kominie.

Z adresu poznałem natychmiast rękę wuja i zadzwoniłem.

— „Kiedy przyniesiono ten list?“ — spytałem Jakóba.

— „Jak pan wyszedłeś. Posłaniec mówił, że otrzyma odpowiedź.“

— „Zobaczymy.“

Poczém otworzyłem list z niejakim pośpiechem i czytałem:

„Kochany Edwardzie!

Chcę o wszystkiém zapomnąć. Wyszedłszy od ciebie dowiedziałem się o twéj awanturze, i że płaszcz twój tam pozostał. Użyłem natychmiast stosownych środków, by przytłumić złośliwą pogłoskę, która zaczynała już obiegać po mieście. Najważniejsza była uspokoić księdza Latour, krewnego twéj narzeczonéj, a to mi się udało. Jeszcze niéma nic straconego.

Jeźliś uwiódł tę dziewczynę, niéma już o czém mówić; winieneś jéj wynagrodzenie, i ja to przyjmuję na siebie. Ale niechcę żadnego wahania więcéj ani zwłoki. Jutro zakończymy rzecz, i za tę cenę tylko (a sądzę, że niebędziesz potrzebował się użalać) odzyskasz spuściznę i przyjaźń twego życzliwego wuja.“

Treść tego listu wprawiła mię w niesłychane oburzenie i niemogłem się poskromić w wyrazach przeciw memu wujowi, który okazał mi się w całéj swéj ohydzie bez serca i moralności, znieważając bezwstydnie to wszystko, co uważałem niejako za święte i nieskalane. Chwyciłem natychmiast pióro i napisałem odpowiedź pełną tak gwałtownych wyrazów pogardy i oburzenia, że za chwilę sam się na nią przeraziłem. Podarłem ją więc śpiesznie, by napisać drugą, potém trzecią, aż w końcu zastanawiając się nad tém z większą spokojnością i sądząc, że los mój, który jutro może się rozstrzygnąć, będzie najdobitniejszą odpowiedzią na zelżywy list jego, postanowiłem wcale nieodpisywać, i za całą zemstę wróciłem do moich słodkich marzeń.

Była już prawie trzecia godzina z północy, gdym się położył do łóżka. Spodziéwałem odurzyć kilkugodzinnym snem niecierpliwość, z jaką oczekiwałem jutra; ale ledwie na kilka minut zmrużyłem oczy, i z piérwszym brzaskiem dnia, który zajźrzał do moich okien, powstałem by się ubrać i oczekiwać z coraz większą niecierpliwością. Niespuszczając oczu z zégaru obliczałem czas, kiedy ksiądz Latour mógł wstać, kiedy wyszedł z domu, jak długo był w drodze i kiedy wreszcie mógł się przedstawić tym damom. Doszedłszy do téj chwili układałem sobie jego przemowę w rozmaity sposób, w miarę stosunków, miejsca i usposobienia, w jakiém zastał swoje dwie przyjaciołki; co więcéj, za pomocą czarodziejskiéj siły pragnienia i miłości wkładałem w usta méj bogdanki i jéj matki wyrazy, które najbardziéj dogadzały moim życzeniom. Nakoniec niemogąc już powściągnąć méj niecierpliwości, postanowiłem wyjść natychmiast i udać się na spotkanie odpowiedzi, którą miał mi przynieść ksiądz Latour.

Owe ustronie, w którém zacny pleban umieścił wczoraj swe przyjaciółki, był to jego własny domek wiejski, odległy o milę od miasta. Tam więc dążyłem zwolna w grudniowy poranek, którego wrażenia niezatrą się nigdy w mojéj pamięci. Powietrze było łagodne, droga szkaradna. Blade słońce oblewało srebrzystym blaskiem pożółkłe pola i drzewa bez liści, a śniegi na górach połyskiwały zdala jak białe wieńce z za mglistéj opony. Ale serce moje ogrzéwało swym własnym zapałem zamrożoną przyrodę, i niejako wzruszone nadzieją blizkiéj szczęśliwości malowało sobie szczęście i miłość rozlewające swe dary na najlichsze nawet chaty rozrzucone po równinie, po któréj wiła się moja droga. Przypominam sobie, że usiadłszy przy drodze, by czekać na księdza Latour, oparłem mój wzrok na jednéj z tych chat, prawie zakrytéj całkiem bujnemi konary wiązów, ponad które wznosił się spokojnie lekki słupek dymu. I mimowolnie umieszczałem mój los pod tą skromną strzechą, zapraszałem z sobą kochaną dziewicę, urządzałem z nią moje gospodarstwo, i ożywiając powoli obnażone drzewa uroczą świeżością moich marzeń, potrafiłem na chwilę odurzyć moją niecierpliwość i zająć myśl tém ustroniem wiejskiém. Niekiedy nadaje przyszłość marzeniom serca jakieś prorocze znaczenie, albowiem w kilka lat potém, w sąsiedztwie tego miejsca, spełniły się w istocie moje życzenia.

Gdym tak siedział i dumał, pokazał się powóz u zakrętu drogi. Zerwałem się nagle jak ze snu i pośpieszyłem naprzeciw niemu. Poznałem z daleka, że był próżny, i miałem go już minąć, gdy woźnica, zwolniwszy naprzód biegu koniom, w końcu się zatrzymał i zapytał mię: czy nie jestem tą samą osobą, po którą posłał go ksiądz Latour.... W okamgnieniu byłem już w powozie i ruszyliśmy śpiesznie napowrót. Teraz-to dopiéro zajęły pomieszanie i wzruszenie miejsce niecierpliwości, i straciłem tak dalece całą odwagę i przytomność umysłu, że byłbym dał niewiem co za to, by powóz niejechał tak prędko.

Wkrótce spostrzegłem dom położony na pochyłości wzgórza, do którego wiodła droga spadzista, ocieniona orzechami. Serce biło mi gwałtownie, a oczy szukały z trwogą jakiego znaku życia dokoła. Ale jakaś głęboka cisza zalegała to samotne ustronie, i tylko dwie okiennice otwarte u dołu świadczyły, że dom ten jest zamieszkany. Tymczasem zjechał powóz z pagórka; już bliższe krzaki, tworzące żywy płot, zasłaniały budynek przed memi oczyma; nagłe szczekanie psa zmieszało się z turkotem kół i powóz wjechał na brukowany dziedziniec. Gdy się zatrzymał, nastała znowu zupełna cisza.

Zaledwiem wysiadł, pokazał się ksiądz Latour we drzwiach domu. Jakaś dama, w wieku do pięćdziesiąt lat, opierała się na jego ręku. Ubrana była bardzo gustownie i pojedynczo, i chociaż chwilowe wzruszenie zakłóciło nieco szlachetny spokój jéj oblicza, przecież wzrok jéj przenikliwy i czuły, gdy go utkwiła we mnie, powiększał jeszcze bardziéj moją nieśmiałość ujmując zarazem moje serce.

W piérwszéj chwili niemogłem przemówić ani słowa, i ona także zachowywała milczenie; ale zacny pleban ujął mię za rękę i rzekł:

— „Mój przyjacielu, przedstawiłem téj damie twoje życzenia, i zdaje mi się, że przyjęła je życzliwie. To jest wszystko, co mogłem uczynić z méj strony; reszta, należy do ciebie, a raczéj od twojéj zasługi, która lepiéj da się poznać sama niż z wyrazów moich.“

— „Wprawdzie poznaliśmy się z sobą w szczególniejszy sposób“ — ozwała się na to dama wzruszonym głosem — „jednak słowa księdza Latour były dostateczne, by zjednać panu mój szacunek, i niemam przyczyny odrzucać oświadczenia, które on popiéra..... Moja córka niewié nic jeszcze, ale niepotrzebuję już nic ukrywać przed nią.... i kiedy raz zaufałam szlachetności pana, pozostawiam resztę wolnemu jéj wyborowi.... Ale proszę pana, wejdźmy do pokoju....“

Byłem tak zmieszany, że niemogłem zebrać się na żadną odpowiedź; jednak zapominając w uniesieniu méj radości o owych względach, jakie nakazuje rozsądna przyzwoitość, pochwyciłem rękę téj damy, i przycisnąłem ją do ust moich z takim zapałem, że zdawała się nim być głęboko wzruszona. Zaledwie dostrzegłem to wzruszenie na jéj twarzy, nabrałem więcéj odwagi i ofiarowawszy jéj moją rękę, wszedłem z nią razem do pokoju. W téj chwili zdawało mi się, że jestem jéj synem, i serce moje upojone szczęściem i wdzięcznością, ślubowało jéj najszczérsze przywiązanie, jakiém starałem się odtąd uprzyjemniać jéj każdą chwilę życia.

Gdym wszedł do pokoju, córka poznała mię natychmiast i lica jéj spłonęły żywym rumieńcem. Ale widząc, że prowadzę pod rękę jéj matkę, uspokoiła się wnet i powitała mię lekkim ukłonem. Przez cały czas nim wszyscy inni usiedli, pozostała nieruchomie na miejscu w postawie pełnéj wdzięku i skromności.

— „Pani“.... przemówiłem do niéj drżącym głosem — „spodziéwam się, że uspokoiłaś się już nieco po przykrych wrażeniach owego wieczora, któremu winienem szczęście poznania jéj.“

Na te słowa zarumieniła się nanowo, w jakie ją wprawiło to wspomnienie, zacząłem rozmawiać o pożarze. Wnet zawiązała się powszechna rozmowa, ale zimna i wymuszona, jak to zwykle się dzieje, gdy słowa służą tylko do pokrycia prawdziwych uczuć serca. Tylko piękna moja przyjaciółka, niedomyślając się jeszcze niczego, słuchała jéj z wielką przyjemnością, dorzucając niekiedy nieśmiałe słówko do opowiadania, które zdawało się zajmować całą jéj uwagę.

Położenie to jednakże, im dłużéj się przeciągało, stawało się tém przykrzejsze; bo chociaż byłem już nieco spokojniejszy, to przecież słowa matki zostawiły mię w niepewności co do tego, jak dalece mogłem się posunąć w mojéj mowie.

W końcu zwrócił się do dziewczyny ksiądz Latour.

— „Mam tu“ — rzekł z uroczystą powagą — „oświadczyć pannie Adeli jedno

życzenie, a to jest ażeby ten młody przyjaciel mój, który jest również przyjacielem twéj szanownéj matki, mógł stać się kiedyś i twoim.“

— „Pan wiesz, Mości Latour“ — rzekło dziewczę nieśmiało ale bez zawstydzenia — „że kocham wszystkich tych, którzy posiadają szacunek mojéj matki i pana.“

Poznałem wtedy, że niedomyślała się wcale powodu mych odwiedzin, i że niewinne jéj serce niepojęło właściwie słów księdza Latour.

— „Pani“ — ozwałem się natychmiast — „chciéj wierzyć, że najmniejszy znak życzliwości z twéj strony jest nieocenionym skarbem dla mnie; ale dlaczegoż miałbym dłużéj ukrywać życzenia, od którego zawisło całe szczęście moje...... jest-to ręka twoja, pani, któréj żądam; jest-to szczęście, bym mógł los mój połączyć z twoim i razem z lubą towarzyszką znaleźć także matkę, którą już kocham i szanuję tak, jak niegdyś moją własną!“

Gdym przemawiał w ten sposób, dziéwczę na pół zdziwione napół niespokojne, spoglądało kolejno to na mnie, to na księdza Latour, to na swoją matkę. Zacna kobiéta ta, widząc, że nadeszła chwila, w któréj musi sama rozstrzygnąć los swéj ukochanéj córki, uczuła odnawiającą się ranę w sercu; naprzemian to dręczona boleśném wspomnieniem przeszłości, to drżąc i lękając się niepewnéj przyszłości, zdawała się błagać swym wzrokiem miłości, pomocy, współczucia, aż w końcu straciwszy władzę nad sobą, zapłakała rzewnemi łzami.

— „Matko!“ — zawołała córka rzucając się w jéj objęcie — „dlaczegoż ty płaczesz?... Ja kocham tego pana i szanuję twą wolę... rozrządzaj mną dla twojego szczęścia, bo w niém tylko mogę znaleźć moje....“ Matka niebyła w stanie jéj odpowiedzieć; ale w końcu zwróciwszy całą swoją czułość ku mnie, ujęła rękę swéj córki i włożyła ją do mojéj.

Od téj chwili byliśmy połączeni. Prawdziwa niewinność jest pełna zaufania; serce po raz piérwszy otworzone dla miłości oddaje się jéj bezwarunkowo. To też w sercu mojéj drogiéj Adeli znalazłem nietknięte jeszcze wszystkie te skarby, które świat zwykle niszczy lub nadwątla, a które w ukryciu nabierają coraz więcéj powabu i blasku. Odznaczając się nadzwyczajną pięknością, pełna powabów i wdzięków, obdarzona tém uczuciem delikatności, które uzacnia w kobiécie wszelkie talenta i przymioty, nieznała jéj szlachetna i skromna dusza żadnéj innéj rozkoszy nad miłość i poświęcenie; a przecież choć z jednéj strony zdawała się nawet być rozrzutną co do wdzięków swéj istoty i ducha, to za to z drugiéj znowu nadawała jakaś niewysłowiona skromność najmniejszéj jéj grzeczności nierównie większy i stokroć słodszy urok niż ten, jakiego niemniéj piękne kobiéty szukają naprożno w rachubach najbieglejszéj zalotności.

Postanowiono zaraz, że damy te przepędzą resztę zimy w ustroniu, które im ofiarował ksiądz Latour, i tam to przybywałem codziennie wśród najostrzejszych mrozów pełen zachwycenia, napawając się przy téj nadobnéj dziewicy

wszelkiemi słodyczami miłości, z każdym dniem silniejszéj i odpłacającéj większą wzajemnością. O czasy ówczesnéj szczęśliwości i śmiejących nadziei! Złote dnie mego życia! Wy nie minęłyście, jak wiele innych przyjemności, które czas unosi bezpowrotnie, niezostawiwszy po sobie miłych śladów; wy byłyście promienną zorzą szczęścia, którego używam teraz, i serce moje wracając wspomnieniem do was, niepotrzebuje żalić się na to, żeście niedopełniły któréjkolwiek ze słodkich obietnic waszych!

Następnéj wiosny zaślubił nas ksiądz Latour w kościołku poblizkiéj wioski; szczęśliwy i dumny z tego związku, który był dziełem jego rozsądku i szlachetnéj bezinteresowności, pozostał najszczerszym naszym przyjacielem. Jakób przeszedł ze mną do mego nowego gospodarstwa, a mój wuj, który umarł we dwa lata potém nieprzebaczywszy mi, rozdzielił swój majątek pomiędzy kilku krewnych mniéj szczęśliwych ode mnie.

Skończyłem już, czytelniku: czy słuchałeś mię aż do końca? Przynajmniéj tak sobie pochlebiałem, i dlatego żałuję bardzo, że musimy już pożegnać się z sobą.

TAITI.

(Z pism Jakóba Arago.)

(Dokończenie. Ob. Nr. 25. 27. Rozmaitości.)

Na tę mowę, któréj cierpkość nie mogła się podobać królowéj Pomare, odpowiedział piérwszy naczelnik wyspy kilka słów wymijających, które bynajmniéj niezaspokoiły komendanta okrętu „Astrolabe.“ Odpowiedział na to surowym głosem: „Królowa wprawdzie wolna jest w swych państwach i nikt w świecie, nawet król Francuzów, niemoże od niéj żądać, żeby zmieniła religię; miała nawet prawo zakazać misyonarzom francuskim wszelką publiczną oznakę swego obrządku, ale okrutne obejście, jakiego doznali obadwaj Francuzi, jest tego rodzaju, że obowiązkiem jest żądać zadość uczynienia.“ Dodał jeszcze z przyciskiem że królowa Pomare poczytywać sobie powinna za szczęście, że się tak tanim kosztem wydobyła z dwuznacznego położenia względem Francyi; wyraził nadzieję, że odtąd pokój między Francyą a Taiti na zawsze będzie ustalony, ale że w razie potrzeby okręta wojenne stacyi amerykańskiéj zawsze będą w pogotowiu skarcić należycie wszelkie nowe nadwerężenie prawa internacyonalnego.

Te dotkliwe słowa przełożył królowéj wiernie p. Henry, syn misyonarza tego nazwiska, który piastował urząd tłumacza.

Łzy gniewu potoczyły się z oczu królowéj Pomary, która się czuła zbyt słabą, by groźbę odpłacić groźbą; ale ufała w przyszłość, i rzeczywiście wątpić trzeba, czyli kiedy Francuzi będą pożądanymi gośćmi na owéj wyspie.

Kiedy się tak królowa trapiła swą bezwładnością, miotał pewien aptekarz, który zarazem misyami się trudnił, z ambony słowa nienawiści i nagany na Francuzów. Ale głównie mu szło o to, żeby rozprzedać wielkie zapasy odzieży, które mu nadesłano z Europy, albowiem nawet w świątyni, gdzie tylko o Bogu powinna być mowa, kazał o sprzedaży swego towaru.

Dumont d'Urville miał konferencyę z tym intrygantem. Była-to najlepsza sposobność

uczynić go nieszkodliwym i uwieźć go do Europy, ale że był ulubieńcem królowéj, przeto niechciano drażnić więcéj jéj gniewu, i dawać tym sposobem nowe powody do prześladowania Francuzów.

Po niedługim czasie odpłynęły okręta „Astrolabe i Zelée;“ Dupetit Thouars popłynął z swym okrętem „Venus“ do Port Jackson, gdzie nowe zaszły nieporozumienia między dzielnym komendantem francuskim a gubernatorem wyspy. Wszędzie rozchodziły się pogłoski wojenne, a pomieniony aptekarz w Taiti w porozumieniu z królową naglił do wojny.

Królowa Pomare przewidując następstwa niesnasek z Francyą, i w przekonaniu że tylko obca pomoc zdoła ją ocalić, napisała do królowéj angielskiéj następujący list:

„*Królowa Pomare i naczelnicy w Taiti do królowéj Wiktoryi.*

Taiti 8 listopada 1838.

Sława, cześć i przyjaźń potężnéj królowéj Anglii. Ja, królowa Pomare, z naczelnikami i zastępcami mego ludu, zebraliśmy się dziś jak jedno ciało i jedna dusza, by Wam z największą przyjemnością wyrazić uczucia wdzięczności, jakiemi nas przejmuje Wasza nieustanna i chrześciańska życzliwość.

Czyniąc to, dopełniamy nietylko obowiązku, odziedziczonego po wygasłém już prawie pokoleniu, ale przyzwyczajeni od dzieciństwa mieć w poszanowaniu imię angielskie, idziemy za popędem serca naszego. Odkąd piérwszy Anglik z jednego z waszych okrętów wylądował na nasze wybrzeże, dziękowaliśmy Waszemu ludowi, jako jedynemu narodowi, który nam okazywał serce chrześciańskie; obyście chcieli podać nam teraz także dłoń chrześciańską!

Błogosławieństwa Waszéj wiary, którąście nam dali poznać, otworzyły nam dwa nowe światy, nieznane potąd naszemu ubogiemu ludowi.

Z pomocą Jezusa Chrystusa i ojcowskiéj staranności misyonarzy możemy się spodziewać, w jednym z tych światów znaleść nasze zbawienie, drugi zaś świat w który nas wprowadza cywilizacya, zaczyna napełniać goryczą życie nasze, i wnet wydarte nam będą nawet groby ojców naszych, jeźli zniskąd nieotrzymamy pomocy.

Handel i przemysł, które cywilizacya wabi na nasze wyspy, wprowadzają nas w codzienną styczność z ludźmi białymi, którzy nas przemagają ciałem i duchem, którym instytucye nasze wydają się niedorzeczne a rządy bezsilne. Korzystając z tego, czém nas natchnęło słabe nasze doświadczenie, użyliśmy wszystkiego, co było w naszéj sile, by uniknąć tych trudności; ale luboć nam się powiodło wydać ustawy, jednak niebyliśmy jeszcze w stanie, nadać im potrzebnéj powagi i siły.

Tak więc w braku siły i powagi zagrożeni jesteśmy we wszystkiém, co sercu naszemu jest najdroższe — w wierze protestanckiéj i w naszéj narodowości.

Niemamy nikogo, coby nam podał rękę w naszém smutném położeniu, nikogo prócz Was, coście w serce nasze wszczepili miłość Jehowy i zamiłowanie porządku i pracy. Niedopuszczajcie, by to nasienie zmarniało; ukończcie coście rozpoczęli i co tak swobodnie i szczęśliwie się rozwija: podajcie nam Waszą potężną rękę; weźcie nas pod Waszą opiekę; niechaj bandera Wasza nas zasłania, a lew Wasz niechaj nas broni; postanowcie sami sposób, w który się zgromadzić mamy pod Waszą chorągiew; zróbcie, ażeby Wam dzieci nasze błogosławiły tak, jak my Wam błogosławimy. Oby wielki Jehowa czuwał nad Wami i wynagrodził Was za wszystko, coście nam uczynili dobrego.

Pokój niech będzie z Wami, Królowo Wielkiéj Brytanii!

Podpisana: Królowa *Pomare*.“

„P. S. Jeżeliby w tym liście było co niezrozumiałego, to kapitan Eliot, komendant fregaty Fly, da potrzebne wyjaśnienia. On o wszystkiém jest uwiadomiony, co się tu dzieje, i dokładnie wszystko wyjaśni.“

Okazuje się tedy, że królowa Pomare nieszukała pomocy u Francuzów ale u narodu angielskiego, w którym jedynie pokładała swe zaufanie. Kapitan Eliot wypełnił wiernie swą misyę. Jako Anglik duszą i ciałem wyłożył dziennikom krajowym pozycyę, jaką Francuzi zajmowali na cichym oceanie, a gazety londyńskie zaczęły miotać obelgi na Francyę. Komendant Cecil zawinął do zatoki Papiti właśnie w czasie, kiedy tam niebyło ani jednego okrętu francuskiego.

Królowa Pomare nabrała znowu otuchy, widząc taką pomoc, angielski misyonarz był uszczęśliwiony, że mu się powiodło dokonać takiego arcydzieła, a Francuzom osiadłym w Taiti zaczeło się znowu źle powodzić.

Ale niezadługo wstąpił znowu duch w mieszkańców francuskich. Laplace, komendant okrętu „Artemisia“ i Bernard, kapitan okrętu „Pylades“ przybyli do Taiti. Misyonarz, który był główną przyczyną niechęci królowéj przeciw Francuzom, odjechał pod ten czas do Anglii, gdzie nie przestawał wichrzyć Francuzom.

Królowa widziała dobrze, że Francuzi niemieli chęci ustąpić z pola nieprzyjaciołom, a że już niemiała przy swym boku dawnego doradźcy, zażądała więc urzędownie także protekcyi francuskiéj.

W maju 1842 odstąpiła królowa Pomare Nukahiwę Francyi, a gdyby się z czasem ponowić miały podobne niesnaski, wtedy mogą francuskie okręta w przeciągu sześciu dni stanąć w zatoce Papiti.

Muzeum Starożytności w Wilnie.

Za staraniem Hrabi Eustachego Tyszkiewicza założone zostało w Wilnie „*Muzeum Starożytności*“, które Rząd tymczasową ustawą do trzech lat zatwierdził, i komisyę dla stosownego zorganizowania zakładu archeologicznego ustanowił. Ustawa zapowiada, czém będzie to Muzeum Starożytności, i jakie zatrudnienia zająć mają komisyę archeologiczną. Ważniejsze uchwały są:

„Zebranie w jedną całość starożytnych ksiąg, aktów, rękopisów, monet, medalów, nadpisów i ich przerysów, obrazów, posągów i innych przedmiotów, odnoszących się do historyi zachodniego kraju Rosyi, dopomagając do zachowania pomników Starożytności, da możność korzystania z nich ku zbadaniu kraju nietylko w historycznym, ale i w handlowym, przemysłowym, przyrodzonym, gospodarczym i statystycznym względzie; dlatego to wraz z utworzeniem *Muzeum Starożytności w Wilnie* uznane za pożyteczną ustanowić przy nim *Tymczasową komisyę Archeologiczną*.“ Zamiarem téj komisyi między innemi jest:

Odszukanie na powierzchni i w głębi ziemi rzadkości, pozostających obecnie bez wszelkiego pożytku i często niszczonych przez nieocenienie ich wartości. Ściągnienie do Wileńskiéj archeologicznéj komisyi historycznych aktów i rękopisów, niegdy należących do zniesionych rzymsko-katolickich klasztorów, jeżli akta podobne i rękopisy z treści swojéj nie będą należały do jakich osobnych wydziałów; niemniéj przesyłanie komisyi podobnychże aktów z bibliotek klasztorów i kościołów etatowych, tegoż wyznania, za poprzedniem o to porozumieniem się z władzami dyecezyalnemi i za ich zgodzeniem się. Zebrać ma pozostałości gabinetów byłego Wileńskiego Uniwersytetu: mineralogicznego, zoologicznego i numizmatycznego, złożone z dubletów i zachowujące się bez użytku przy gimnazyum wileńskiém.

Godność kuratora Muzeum i prezesa archeologicznéj komisyi nadaną została założycielowi muzeum: Hrabi Eustachemu Tyszkiewiczowi; na godność członka wydaje Muzeum i komisya dyplomata, pod własną pieczęcią z herbem państwa i napisem: *Wileńskie Muzeum Starożytności.*

Wyprawa w głąb Afryki.

Zapowiedziana w głąb Afryki wyprawa *) pp. *Burton*, *Speke* i *Herne*, do których przyłączył się geograf Stroyan, nie powiodła się, luboć tyle wróżyła. Zarzucają przedsiebiercom nieroztropność, że się zaopatrzyli w bogaty towar a dla dziczy łakomy, w strzelby, w samopały, rewolwery i tym podobną zbroję, w wartości 1500 funt. szt.; a mało oględni nie przybrali straży dostatecznéj, któraby ich od rozboju chroniła. Dla tego téż ledwo d. 18 kwietnia* r. b. stanęli stopą na wybrzeżach Berberry naprzeciw Adenu, zaraz pierwszéj nocy uderzyła zgraja dziczy Somalskiéj przemocą, rozbiła załogę z 38 ludzi, i uniosła w zdobyczy wszystkie zapasy, a samych podróżnych srodze pokaleczyła; Stroyan nawet poległ w utarczce. Posądzenie pada na ludzi, którzy rodem Somale, mogli ziomków swoich albo uprzedzić albo nie stawić w chwili napaści należytego oporu. Wyprawa zatem tyle obiecująca spełzła; Burton jedzie do Anglii z twarzą na wylot przedziurawioną, porucznik Speke leczy się na rany w Adenie. Herne jeden ocalony jak cudem, wraca do pułku w Indyach.

*) Ob. N. 15 Rozmaitości.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*